

Jak zaczęła się Pana przygoda z ptakami?

Zainteresowanie ptakami zaczęło się od zainteresowania rybami. Jako dziecko lubiłem chodzić nad rzekę i wędkować. Pewnego razu, gdy miałem 10 lub 11 lat, łapiąc ryby nad rzeką Utratą (to taka mała rzeczka na Mazowszu) zobaczyłem, że są tam nie tylko ryby. Pamiętam dokładnie tę sytuację, każdy szczegół. A więc siedziałem sobie nad tą Utratą, była tam przy niskim brzegu pływająca, na którą ptaki przylatywały pić wodę i tam zobaczyłem po pierwsze pliszkę żółtą, po drugie makolągwę i po trzecie gąsiorka. To było jak olśnienie. Zobaczyłem, że te małe stworzenia są tak piękne, piękniejsze od ryb. Oczywiście w tamtych czasach nie było takiego wyboru książek o ptakach. To były lata 60. Rodzice kupili mi szybko atlas „Ptaki Polski” Sokołowskiego. Sąsiadka miała „Ptaki ziem polskich” – dwa tomy i biegałem do niej codziennie, aby czytać o nowym gatunku ptaka, którego widziałem. Miałem cichą nadzieję, że sąsiadka poda mi kiedyś te książki, ale niestety, nie dała mi ich. Latami trwało poszukiwanie ich w antykwariatach warszawskich. Najpierw miałem jeden tom, później drugi i uczyłem się tak sam co najmniej przez 10 lat, bo osób, które interesowały się ptakami, było wtedy mało. Poza tym miałem taką tendencję, że nikt mi nie jest potrzebny, że wiedzę o ptakach zdobędę samodzielnie. Dopiero, kiedy zacząłem jeździć na Akcję Bałtycką, zobaczyłem, że kompletnie nic nie umiem. Trafiłem tam jak większość ludzi pasjonujących się wtedy ptakami, bo w latach 70. to była czołowa akcja badająca wędrówki ptaków. Później w roku 1988 zacząłem organizować pierwszy na śródlądziu punkt badania migracji ptaków, tzw. „Akcję Wisła”. Ponieważ hasło to kojarzy się z tragicznymi wydarzeniami historycznymi, to nazywałem ją raczej akcją wiślaną. Obrzączkowałem tam ptaki przez 14 lat. Oczywiście nie sam. Przez obozy te przewinęło się około 200 osób. Zgromadzone materiały naukowe nie zostały jeszcze wyeksloatowane, nad czym boleję.

Abstrahując jednak od walorów naukowych tych obozów, ich ważnym skutkiem ubocznym były nawiązywane znajomości i relacje z innymi pasjonatami przyrody. Oczywiście na obozy obrzączkarskie nie jeździ się w tylko takim celu, ale nie można nie zauważyć, że tworzenie się pewnej społeczności jest bardzo ważne. Ludzie sobie to cenią. Bo wiadomo, że pracując zespołowo, jest się w stanie zrobić coś ciekawego.

Zachęcałby Pan do uczestniczenia w obozach ornitologicznych? Czy to jest miejsce dla każdego?

Powiem tak. Dla każdego! Bo tempo uczenia się zespołowego jest wielokrotnie wyższe niż indywidualnego. Natomiast jeśli ktoś jest samotnikiem i wydaje mu się, że najlepiej czuje się sam, to najwyższy czas pożegnać z tym mitem. Nie ma ludzi, którzy idealnie czują się tylko we

A jeśli chodzi o wiedzę, to nie ma takiej możliwości, aby samemu dojść do tego samego co osoba, która pracuje w zespole.

Od wielu lat jest Pan wykładowcą w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Pełnym charyzmy dr. Kellerem od ptaków. Przez ten

tupetem. Jeśli zaś chodzi o proprzyrodnicze wychowanie, to jest z nim tak jak z każdym wychowaniem. Nie ma innej metody jak własny przykład. Zgodność składanych deklaracji z tym, co się robi, to podstawa, bo młodzież patrzy na to, jak nauczyciel się zachowuje, a nie na to, co mówi. Jeśli nauczyciel opowiada o lesie, o roślinach, to ta wiedza jest krótka. Ale jeśli wiąże się to z jakimś uczest-

nictwem, to daje szansę, że w osobach, w których drzemie proprzyrodniczy instynkt, obudzi się on. Moją rolą jest wyłapanie takich osób. Czuli bym się źle, gdybym miał świadomość, że przeczyłem niektóre. Dlatego chętnym staram się dawać okazję do własnej działalności. Nie ma się oczywiście co tutaj oszukiwać, że poświęcam swój czas albo że jestem altruistą. Moja współpraca z młodzieżą to rodzaj wymiany interesów. W ich interesie jest zobaczenie czegoś więcej, zdobycie szerszej wiedzy, a moim jest pomoc w mojej pracy, jaką mogę od nich uzyskać. Patrząc na moje doświadczenia z młodzieżą, to powiem, że miałem tak samo wielu młodych przyjaciół 30 lat temu, jak teraz.

Pana naukowa specjalizacja to ptaki drapieżne. Dlaczego wybrał Pan akurat tę grupę ptaków?

To całkowity przypadek. Po prostu, tak się jakoś ułożyło. Kiedy zacząłem w 1978 roku pracować na SGGW, to dosłownie w ciągu pierwszych tygodni pracy przyszła do mnie grupa studentów Wydziału Leśnego, która chciała założyć sekcję ornitologiczną koła naukowego leśników. Musiałem wtedy coś wymyślić nie tylko na swój doktorat, ale także, żeby znaleźć tym młodym osobom zajęcie. Wymyśliłem wtedy kilka tematów. Jeden z głównych związany był z ptakami drapieżnymi w Lasach Sobiborskich na Polesiu Lubelskim i do dzisiaj ma to swoje skutki. Po raz pierwszy pojechaliśmy tam na obóz naukowy w 1979 roku i ta przygoda z Sobiborem trwała 12 lat. Robiliśmy wtedy bardzo szeroko zakrojone badania na ptakach drapieżnych, kruk, bocian

czarny i na cietrzewiu. Jednocześnie w odległości kilkudziesięciu kilometrów od Lasów Sobiborskich robiłem doktorat na zbiornikach retencyjnych włączonych w system wodno-melioracyjny kanału Wieprz-Krzna na Mostach i na Zahajkach. Tam zajmowałem się ekologią ptaków wodnych i w ramach tejologii zajmowałem się jednocześnie błotniakiem stawowym. Tak więc z jednej strony robiłem te badania, szukałem gniazd, a 40 km da-



Marek Keller, fot. Tomasz Chockiewicz

– z Markiem Kellerem,
wychowawcą kilku pokoleń polskich
ornitologów, mieszkańcem Lasów
Sobiborskich i wykładowcą zoologii
w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego
rozmawia Elżbieta Stepnowska

czas miał Pan okazję uczyć kilka pokoleń. Czy młodzież, z którą spotyka się Pan teraz, jest inna od tej sprzed kilkudziesięciu lat? Czy trudniej zaszczepić w niej pasję przyrodniczą?

Ludzie zawsze są tacy sami, a młodzież jest taka, jak została wychowana. Podstawowa różnica, jaką widzę, to większa przebojowość współczesnej młodzieży, ale nie zawsze w dobrym stylu, bo myłona często ze zwyczajnym

własnym towarzystwie i nie potrzebują innych. Pogląd, że można samemu nauczyć się przyrody i ptaków, jest złudzeniem. Dlatego jeśli ktoś musi się przełamać, to niech się przełamuje, bo zobaczy, że ludzie to nie tylko konkurenci, ale potencjalni przyjaciele, partnerzy i partnerki życiowe. Przyjemniej i sensowniej jest żyć z ludźmi, nawet jeśli powoduje to napięcia, konflikty. Znacznie lepiej jest je mieć i nauczyć się je rozwiązywać, niż żyć w pustce.

lej był Sobibór, do którego co parę tygodni przyjeżdżali studenci, a ja dojeżdżałem rowerem Wigry 3. Przez te 12 lat zebrano bardzo dużo materiałów naukowych, które w małym stopniu opracowano. Po 19 latach przerwy w 2009 roku postanowiłem do Sobiboru wrócić, nie tylko ze względów sentymentalnych, bo to była pierwsza powierzchnia badawcza, ale oczywiście były ważne powody naukowe. Las ten w okresie tym bardzo się zmienił. Po pierwsze urósł o 20 lat, nastąpiła wyraźna eutrofizacja siedlisk leśnych. Teraz las ten wygląda inaczej, jest w nim więcej podszytu i więcej gatunków liściastych. Poza tym to jest Polesie Lubelskie ze specyficznymi warunkami. Występują tu liczne bory sosnowe i olsy, ubogie siedliska, gdzie decydującym czynnikiem jest woda. Gdy wyjeżdżałem stamtąd w latach 90., poziom wody był niższy niż w roku 1979. Skutek był taki, że na liczne polanki w tych borach bagiennych, które wcześniej były porośnięte turzycami i gdzie było mokro, zaczęła masowo wchodzić brzoza i w tej chwili jest to zarośnięte brzeźniakami. Eutrofizacja spowodowała wzrost liczebności ofiar. Więcej podszytu, więcej gatunków liściastych, więc ofiar typu gryzonie jest więcej. Ale ponieważ miejsca te zarosły, to warunki pokarmowe summa summarum prawdopodobnie się pogorszyły. Chcemy zobaczyć, jaki jest bilans tych dwóch procesów, bo z jeden strony liczba ofiar wzrosła, ale ich dostępność spadła. Badamy to, oceniając efekty lęgów – patrzymy, ile w gnieździe jest piskląt oraz badamy skład pokarmu poprzez ocenę wypluwek.

Lasy Sobiborskie, fot. Tomasz Chodkiewicz



Wchodzenie do gniazd i obrączkowanie piskląt to ogromny stres dla ptaków...

Stres jest na pewno. Jeśli jednak byłby ogromny, to byłaby większa śmiertelność ptaków, na zasadzie ataku serca. Poza tym mam wątpliwości, czy ten stres jest naprawdę duży. Można dawać wiele przykładów, że nie do końca. Bo jeśli łapię sikory nie w cienką siatkę, której nie widać, tylko w pułapkę, do której ptak musi wejść i jeśli łapię tę sikorę dziesięć razy w ciągu zimy, to gdyby to był taki ogromny stres, to wydaje mi się, że sikora ta uciekłaby stąd i nie dała się skusić na ponowne wejście do tej pułapki.

Może po prostu się nie uczy lub nie zapamiętuje, że pułapka ta oznacza coś nieprzyjemnego?

Może i tak. I może oszukujemy się, że ten stres jest mały. Ale z drugiej strony nie ma istot na świecie, które nie przeżywają stresu. Ptak na wolności żyje cały czas w stresie. Żerując, wędrując, rozmnażając się cały czas jest czujny i ogląda się, czy nie ma w pobliżu drapieżnika. Być może człowiek ten stres zwiększa, ale to jest kwestia etyki, by wszelkie badania robić jak najszybciej. I my staramy się tak pracować. Na przykład ptak, który czeka do obrączkowania, jest trzymany w woreczku, nie w ręku. Wiele razy zdarzało mi się, że taki ptak śpiewał. Tak więc, czy on się wtedy bał? Uważam, że bardzo ważne jest zachowanie zdrowego rozsądku. Jestem daleki od tego, by uwierzyć w to, że możliwe są badania na ptakach bez kontaktu z nimi, bez chwytania, obrączkowania, bez pobierania próbek krwi. To nieuniknione, tak jak nieuniknione jest

leczenie człowieka bez bolesnego leczenia zastrzykami czy różnego typu badań, nie zawsze przyjemnych. Naszą rolą jest minimalizować ten stres i dlatego pracujemy przy otwartej kurtynie. Gdy łapiemy i obrączkujemy ptaki, wszyscy widzą, jak to robimy. To jest poddane kontroli społecznej, przy czym musi być ona wyważona i zawsze musi być skonfrontowana z kontrolą profesjonalistów. Myślę, że większość badań nad ptakami jest robiona etycznie, bo motywacje większości naukowców są proptasie. Oczywiście, jest coś takiego jak własna kariera, ale to zawsze wiąże się lub powinno wiązać się z lubieniem ptaków. Wydaje mi się, że większość z nas nie przekracza granic stawianych samym sobie. Gdy trzeba, potrafimy odpuścić. Jeśli obrączkuję ptaki w gniazdach i wiem, że pisklęta są za duże i jest szansa, że skoczą z gniazda i się zabiją, to rezygnuję. Mimo że naukowo być może nie powinienem, bo muszę ileś jeszcze osobników zaobrachkować. Ale oceniam sytuację. Wiem, że czas na to, bym mógł tam wejść, już minął i dlatego odpuszczam.

Z tych słów wylania się obraz naukowca, który szanuje przyrodę. Jakie jeszcze inne cechy powinien mieć ornitolog, by swoją pasją nie szkodzić ptakom?

Nie może traktować ich przedmiotowo jako środka do zrobienia kariery. Kariera musi być pochodną zainteresowania. To jest na tyle ciężka praca w sensie fizycznym, że ci, którzy chcą zrobić coś łatwo i szybko, zaraz się wykruszą. Bo w tej dziedzinie nie ma tak łatwo. Są lata lepsze i gorsze, są lata zmarnowane, kiedy niewiele udało się zrobić. Dlatego trzeba mieć trochę pokory wobec przyrody. I myślę, że większość z nas to ma. Patrząc na moich kolegów, przyjaciół, widzę to. I jeszcze coś. Trzeba na pewno po prostu lubić ptaki.

Przez lata pracy naukowej udało się Panu zrobić wiele badań dotyczących ptaków drapieżnych. Jest Pan specjalistą między innymi od krogulca. Jakie były najciekawsze wyniki prowadzonych przez Pana badań?

Muszę jeszcze raz podkreślić, że wyniki mojej pracy naukowej to efekt pracy zespołowej. Sam nie zrobiłbym tego nigdy. Korzystając z tego, że mam studentów, zrobiliśmy szereg prac dyplomowych dotyczących krogulca, które zmieniły pogląd na temat jego liczebności w Polsce. Oceniano ją na 5-10 tys., myśmy pokazali, że jest go 30 tys.

To była istotna zmiana. Poza tym zrobiliśmy ekologię tego gatunku i próbę oceny śmiertelności dorosłych krogulców przez zbiór piór samic wokół gniazd. Będziemy próbowali robić badania genetyczne zebranych piór. Dużo sobie po tym obiecuję, bo to jest coś nowego w nauce. Jeśli chodzi o inne ptaki drapieżne, to ciekawa z punktu widzenia realnej ochrony ptaków jest sytuacja jastrzębia. Jastrząb jest w Polsce gatunkiem ściśle chronionym. W połowie lat 70. miał w Polsce minimum liczebności. Związane to było ze stosowaniem DDT, obecnością jastrzębia na liście szkodników łowieckich, przez co był przez myśliwych w sposób legalny odstrzeliwany. W 1976 roku wprowadzono zakaz stosowania DDT, a wszystkie ptaki drapieżne zostały objęte ochroną. Nikt się nie spodziewał, że w ciągu następnych dwudziestu lat między rokiem 1975 i 1995 nastąpi tak niesamowita odbudowa populacji jastrzębia. Jego liczebność była na bardzo wysokim poziomie. W ciągu ostatnich 15 lat sytuacja prawna jastrzębia się nie zmieniła. Dalej jest chroniony, dalej nie stosujemy DDT, dalej nie ma prawnego przyzwolenia na jego odstrzał, a jego liczebność w tym okresie spadła o 50%. Dlaczego? Nie dopatrywałbym się jakiś zjawisk populacyjnych. Na przykład, że było przegęszczenie populacji, przez co zareagował spadkiem rozrodczości. Nie. Po prostu stało się coś, co jest społecznie niedobre, ale jest faktem. Otóż uaktywnili się hodowcy gołębi, którzy zawsze uważali jastrzębia za ptaka zagrażającego swoim hodowlom i jak go było mało, to albo go tolerowali, albo niszczyli umiarkowanie. Ale jak zaczęło go być dużo, to wyłapywanie jastrzębi, głównie młodych ptaków, w pułapki żywołowne, które są ustawiane przez hodowców gołębi, stało się procederem, z którym sobie nie radzimy. To nie jest kłusownictwo w sensie prawnym, bo kłusownictwo dotyczy zwierząt łownych, więc to jest zabijanie zwierząt chronionych. Wygląda to tak, że przy gołębnikach, a tych w Polsce jest bardzo dużo, stoją gdzieś nie na widoku, w sadzie lub na polu, duże klatki (rama z siatką) z kłapą i podwójnym dnem. W środku jest żywa przynęta w postaci gołębia. Jastrząb tam wpada, kłapa od góry się zamyka, gołąb ucieka dzięki podwójnemu dnu. W pułapce zostaje jastrząb i tam kończy życie.

Skąd ma Pan takie informacje? Czy były robione jakieś badania?

! Nie było badań. Nikt się tym nie zajął ani naukowo, ani interwencyjnie. A ja skąd o tym wiem? Przebywam często w terenie, mam kontakt z setkami studentów zaocznych, którzy też są w terenie, z wieloma rozmawiam. Potwierdzają, że tak jest. Policja nie jest tym zainteresowana, bo co to ważnego – jakieś tam ptaszki. Poza tym jest społeczne przyzwolenie na wsi, bo jastrząb łapie kury i gołębie. W ten sposób liczebność jastrzębia została ściągnięta na poziom 50% stanu maksymalnego, który był 15 lat temu. Jak to się na to patrzy i porównuje ze stanem maksymalnym sprzed 15 lat, to jest to spadek o 50%, ale jak się porównuje ze stanem minimalnym, to jastrzębia jest dalej całkiem sporo, więc nie robimy dramatu.

Jaki to może mieć wpływ na liczebność jastrzębia w Polsce w najbliższych latach?

Zobaczmy. To, co opisuję, jest stanem na dzisiaj. Jeśli chodzi o przyszłość, to nie wiem, jak zagrają procesy kompensacyjne. Być może jest to trochę śmiertelność wymienna z innymi źródłami śmiertelności, np. jastrzębie rozbijają się też o druty i zapewne część osobników, która łapie się w pułapki żywołowne i tak by zginęła. Pytanie, czy wszystkie z nich, czy tylko część. Czy śmiertelność wynikająca z ich chwytaniem dołoży się do innych źródeł śmiertelności, czy to się skompensuje? Teoretycznie powinna się dołożyć. Czyli to może być groźne. Chyba że będzie sprzężenie zwrotne, to znaczy w momencie, gdy tych jastrzębi jest mniej, to mniej osób stawia pułapki. Tak więc to nie musi się skończyć dramatem. Ale faktem jest, że hodowcy gołębi ściągnęli jastrzębia z liczebności wysokiego pułapu na poziom 50%. Wbrew prawu.

Wróćmy jeszcze na koniec do Sobiboru. Spędził Pan tam wiele lat i wygląda na to, że będą kolejne. Co takiego niezwykle mają w sobie lasy Sobiboru, że poświęcił im Pan tak ogromną część swojego życia?

Lasy Sobiborskie to lasy państwowe. Dla większości jawią się jako niezbyt interesujące, zwłaszcza dla tych, którzy przyjeżdżają tu na krótko. Przyjeżdżają i patrzą: lite sośniny, nuda. I tu zawiązuje się intryga. Tak wyglądają tylko na pierwszy rzut oka. Bo trzeba pamiętać, że to jest jednak Polesie. Tam jest takie powiedzenie: piaski, laski i karaski. Wiadomo, że z dróg, którymi jeździ się samochodem, nic ciekawego się nie zobaczy. Widać zwykły las. Ale jak się zejdzie z tej drogi i zacznie się łązić po tym lesie, to się nie wylazi z kaloszy. I jak ktoś lubi chodzić w kaloszach i ktoś ścierpi komary i meszki, i ścierpi, i że mu się bez przerwy będzie przelewało, i będzie zimno, i nieprzyjemnie, i jak to ktoś zaakceptuje, nie mówię, że polubi, ale zaakceptuje, to poczuje bluesa, i wtedy ma szansę zobaczyć ciekawą stronę tego miejsca. Lasy te mają wiele cech naturalnych – powalone drzewa, kilkanaście procent stanowią bory bagienne, rosnąca tu sosna ma małe przyrosty, sosenki są cienkie i niskie – ale mają po 120 lat. Nie ma tu dużo zwierząt, ale jak już są, to ciekawe. Jest tam cietrzew, wilk, ryś. Miejsce to ma niepowtarzalny klimat, atmosferę mokrego lasu, zapach kwitnącego bagna. Kupiłem w tej okolicy ostatnio mieszkanie. Badania będę tutaj prowadził do emerytury i zapewne tutaj umrę.